

Ottawa, dnia 4 marca 2001 r.

**Fr Jan Sadowski, OMI**  
**201 LeBreton Street N.**  
**Ottawa, ON**  
**KANADA K1R 7H9**  
**Tel. (613) 230 0804 Fax (613) 230 0125**  
**E-mail: polishchurch@cyberus.ca**  
**Website : www.cyberus.ca/-polishchurch**

Z Kanady po raz siedemnasty

### **Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja Niepokalana!**

W Adwencie już rozpoczynają się bożonarodzeniowe przyjęcia. Nieraz jest to konieczne, gdyż bezpośrednio po Świątach, albo nawet przed Wigilią niektóre rodziny wyjeżdżają „do ciepłych krajów”, na przykład na południe USA i powracają dopiero na Wielkanoc. Wielu kanadyjskich emerytów, także polskiego pochodzenia, ma tam drugi dom albo przynajmniej prawo używania kilku pokoi na Florydzie należąc do jakiegoś klubu. Wpłacone kiedyś pieniądze teraz dają pożytek. Ale kanadyjski zwyczaj urządzania przyjęć w Adwencie u wielu powoduje problemy sumienia. Advent należy do okresów pokutnych w Kościele, chociaż jest to okres radosny, a na takich spotkaniach często urządza się tańce. Najdogodniejszym dniem jest piątek, czyli wieczór przed dwoma dniami wolnymi. Znam osoby, które są odpowiedzialne za przygotowanie takich uroczystości, lecz będąc konsekwentnymi katolikami nie tańczą i opuszczają spotkania przed posiłkiem. Istnieje możliwość zamiany postu na jakiś konkretny dobry uczynek, ale i tego nie chcą zaakceptować, trzymając się polskiej tradycji. W rozmowie z takimi katolikami przeważnie słyszę ten sam argument, że wszelkie przestępstwo i odstępstwo od wiary rozpoczyna się od drobnych i dozwolonych ustępstw. I z pewnością mają rację, chociaż trudno potępić wszystkich uczestniczących w takich imprezach.

I ja uczestniczyłem w trzech takich imprezach, wszystkie urządzone przez Radę Parafialną. Pierwszą było spotkanie z aktywnie pracującymi parafianami. Zwykle przybywa blisko 100 osób. Są kanapki, pizza, coś na słodko, kawa, herbata. Jest i wino (podobno „mszalne”), ale i tutaj nie wszyscy sięgają po kieliczek. Przecież niektórzy ślubowali nie pić alkoholu w Adwencie. Wszystko spożywa się na stojąco, rozmawiając. Jest to jedna z wielu okazji do spotkań i rozmów z parafianami, których widzi się „urzędowo” podczas Mszy Świętej lub oficjalnego zebrania danego stowarzyszenia. A dlaczego użyłem cudzysłowu przy winie? W Kanadzie kupując wino mszalne nie płaci się podatku, ale też nie wolno podać do spożycia na przyjęciach. Podanie wina nawet na spotkaniu parafialnym byłoby więc nieetyczne. Można podać ten sam gatunek wina kupiony w innym sklepie.

Drugą imprezą było spotkanie z ministrantami i ministrantkami. W Polsce są procesje i dziewczęta mogą się pokazać, tutaj procesja jest raz do roku. Niektórym nawet to się podoba, chociaż są tacy, których to szokuje. Młodzi uczestnicy spotkania otrzymali przynajmniej jeden kawałek pizzy i obrazek Matki Bożej z zamkniętymi oczami (cudowna figura Matki Bożej z Cap de la Madelaine). Po drugiej stronie obrazka jest modlitwa kierowców. Jedna z ministrantek wręczała ten obrazek i tłumaczyła: „jak dorośniesz i kupisz sobie samochód, musisz tam pojechać”. Następnego dnia było spotkanie Krucjaty Eucharystycznej i dziewczęta otrzymały taki sam obrazek i to samo usłyszały.

W drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia miałem okazję zjeść obiad u parafian, którzy już tradycyjnie mnie zapraszają. Tym razem spotkałem jeszcze dwie inne rodziny. Niestety, nie mogłem pozostać na śpiew kolęd (dwie godziny zazwyczaj), gdyż trzeba było stawić się na wieczorną Mszę Świętą. Kolędy czyli odwiedziny wszystkich parafian przez księdza polskim zwyczajem tutaj nie ma. Trzeba by jeździć samochodem. Niektóre rodziny zapraszają

indywidualnie, ale są to nieliczne i taka kolęda trwa przynajmniej 2 godziny. Częściej jest poświęcenie nowego domu lub mieszkania.

Polscy Oblaci spotykają się dwa razy do roku: w czerwcu na rekolekcjach i w styczniu na „dnach studyjnych”, które są poświęcone przede wszystkim omawianiu problemów związanych z działalnością polskiej prowincji Wniebowzięcia w Kanadzie. A ponieważ mamy problemy, które przeżyli Oblaci w USA, tegoroczne styczniowe spotkanie odbyło się w Houston, w Teksasie. Ja polecałem 3 dni wcześniej, aby coś zwiedzić. Niestety, piękny ośrodek rekolekcyjny Oblatów w Teksasie jest z dala od miasta Houston (20 minut jazdy samochodem do najbliższego autobusu). Nie mogłem poświęcić na chodzenie tyle czasu, ile chciałem i co jest zgodne z moim zwyczajem. Byłem uzależniony od Oblatów, którzy w tym ośrodku jednak pracowali. Potrzebowałbym 7 godzin, a byłem 4 godziny w „ogrodach” z trzema piramidami, blisko Zatoki Meksykańskiej. W Muzeum Nauki i Natury rozmawiałem po francusku z pracownikiem, który służył mi pomocą, dobrze informował, a przy okazji pochwalił się, że był w Paryżu, Berlinie, Warszawie, Krakowie, Rzymie, Wiedniu i kilku innych miastach europejskich, ale – niestety – nie wie, gdzie jest Polska. Typowy Amerykanin.

Msza Święta w oblackiej parafii języka hiszpańskiego dała mi okazję do poznania Meksykańczyków, ludzi biednych, ale autentycznie i entuzjastycznie żyjących wiarą. Pomocnym w modlitwie we Mszy Świętej był chór, o jakim ja marzę. Kilkanaście osób stojących z boku ołtarza, jeszcze przed stopniami, śpiewało jednym głosem pieśni podtrzymując śpiew obecnych na Mszy Świętej. Nie byli to zawodowi artyści, dlatego nie śpiewali na chwałę swoją, lecz Bożą. Potem śpiewali nam w czasie kolacji z potrawami meksykańskimi pracowicie przygotowanymi przez inny zespół. Przyłączyliśmy się do ich śpiewów. Podczas śpiewania „Barki” śpiewacy znaleźli hiszpańskie słowa w swoich śpiewnikach. W ich śpiewniku liturgicznym widziałem po angielsku pieśń na melodię „Serdeczna Matko”, z informacją, że to jest popularna pieśń polska. Na zakończenie młodzi Meksykańczycy zaprezentowali się w ognistych tańcach i strojach południowców. Szybko i z przytupem pracowały nogi. I tylko miejscowy ksiądz proboszcz, Oblat, nie miał czasu na posiłek, zajęty podglądaniem naszych stołów i talerzy.

Ostatnia kolacja była uczczeniem dwóch jubilatów: 45 i 25 lat kapłaństwa. Niespodziankę zrobił nam siedmioosobowy (sześć osób męskich z instrumentami i jedna osoba niemęska bez instrumentu) zespół grający i śpiewający na weselach. Przygotowali też pieśń dla jubilatów-kapłanów. Z instrumentami nie można tańczyć, ale młodzi Oblaci pokazali, że z Meksykanką też tańczyć potrafią.

Na samym początku pierwszego spotkania niespodziewanie odwiedził nas zmarły w 1861 roku Święty Eugeniusz de Mazenod, Biskup Marsylii, założyciel Oblatów, aby okazać zainteresowanie naszymi pracami i udzielić nam kilku praktycznych rad. Chociaż artysta nie był w Seminarium, dobrze wczuł się w rolę biskupa.

Moja powrotna droga do domu była epopeją. Samolot z Houston leciał tak wolno, że na przedmieściu Nowego Jorku wylądował w chwili odrywania się od ziemi samolotu do Ottawy. Innego samolotu w piątek już nie było. Dano mi kupon na jedną noc w hotelu, do którego zostałem dowieziony hotelowym autokarem bezpłatnie. Kupon na kolację i śniadanie były zbyt mało warte, jak na mój apetyt. Musiałem też kupić podręczny zestaw toaletowy, aby się ogolić i umyć zęby. W pokoju hotelowym znalazłem kilka ręczników i ręczniczków, kilka mydeł, szampon, żelazko do prasowania i kafeterię z dwoma torebkami kawy (na wieczór i rano), koperty z papierem listowym bez znaczków, długopis oraz czynnych i różnych 20 kanałów w telewizorze. Nie miałem żadnego płaszcza ani swetra, a w samym garniturze byłoby zbyt zimno, gdybym chciał zwiedzić kawałek Nowego Jorku. Za to w sobotę dobrze się wyspałem i dopiero o 9-ej pojechałem na lotnisko. Przez trzy godziny obejrzałem wszystkie sklepiki i sklepy w budynku portu lotniczego. Byłem spokojny mając kartę wstępu na pokład amerykańskiego samolotu. Kiedy zmęczony spacerem zbliżyłem się do odpowiedniej „bramy wejściowej”, dowiedziałem się, że samolot jest odwołany. I dopiero wtedy odpowiednią informację podano na wszystkich monitorach lotniska i przez megafony, a mnie znaleziono miejsce w samolocie

kanadyjskim. Jednak musiałem urządzić marszobieg z dworca lotniczego C do budynku A. W Ottawie byłem w sobotę o 4-ej po południu. Kierowca-gospodarz kościoła czekał na mnie. Przywiózł też mój płaszcz zimowy. A ksiądz Proboszcz prawie do południa zachowywał się w domu bardzo cicho myśląc, że śpię, aż przed południem usłyszał moją informację nagraną przez sekretarkę telefoniczną. Gdy ja korzystałem z telefonu, ksiądz proboszcz kupował dla mnie serki, jakie jadam na kolację. W tym zdarzeniu dopatruję się także bezpośredniej ingerencji Pana Boga w moje życie osobiste. Gdybym spacerował jeszcze dłużej, chociażby 15 minut, a miałem prawie dwie godziny do odlotu, już nie zdążyłbym na ostatni samolot do Ottawy i noc musiałbym spędzić na lotnisku. Nie wiem, czy miałbym prawo do drugiej nocy w hotelu. W niedzielę samoloty nie startowały z powodu burzy śnieżnej i może dopiero w poniedziałek zdołałbym dolecieć do domu.

Tej samej soboty, w dniu 20 stycznia, na sali pod kościołem spotkało się 110 osób, aby zjeść kolację i potańczyć. Akcja Katolicka udekorowała salę, postarała się o zespół muzyczny i śpiewający. I chociaż byłem zmęczony, spędziłem na rozmowach dwie godziny. Głośna muzyka dochodząca z piwnicy nie przeszkadzała mi w spaniu, a niektórych uczestników zabawy widziałem w kościele już na pierwszej Mszy Świętej.

Podczas rekolekcji dla rodzin w obłackim ośrodku w Mississauga (koło Toronto) dzieci wyszły na spacer, aby znaleźć coś, z czym mogłyby się utożsamić. O kwiaty w styczniu raczej trudno. Jedna z uczestniczek przyniosła długą trawkę (ugina się przy wicherze, ale zawsze się prostuje), jakiś koszyczek, z którego wylatują nasionka (wypowiadane słowa lecą na wietrze nieraz bardzo daleko) i ostrą na końcu, ale całą miękką, igłę z iglastego drzewa (czasem dokuczy, choć jest bardzo wrażliwa). Podobają mi się takie pomysły. To przypomina zabawy Świętej Urszuli, która w XVI wieku w swojej wiosce z małymi dziećmi bawiła się w szkołę: trzeba było znać nazwy roślin i ich zastosowanie (które zwierzęta lubią, na jakie choroby jest to lekarstwo itp). Bywają też zabawy bardzo pożyteczne. Ale jak to zrobić, aby uczyć się i bawić jednocześnie?

W lutym dwukrotnie gościliśmy harcerzy przybyłych do Ottawy na sobotę i niedzielę z Toronta, Montrealu i Świętej Katarzyny – to takie miasteczko koło wodospadu Niagara. Oczywiście, byli to harcerze polscy, dobrze mówiący po polsku. Takie ich wycieczki są organizowane każdego roku. Harcerze zwiedzają stolicę Kanady, a po wieczornej Mszy Świętej w sobotę harcerze schodzą pod nasz kościół, zapalają ognisko (świeca) i harczą. Podoba mi się to, że dużo śpiewają, trochę mniej tańczą (także przy śpiewie), czasami pokażą jakiś skecz, a wszystko jest na wesoło. W tym roku umieszczono w programie i mój występ. W ubiegłym roku opowiadałem znaną moim Korespondentom bajkę z papierkiem, w tym roku program rozszerzyłem. Urządziłem wyścigi. Spróbujcie przejść 10 metrów idąc dwa kroki do przodu i jeden krok do tyłu. To było proste, choć pokraczne. Ale spróbujcie przejść jednakowo długimi krokami idąc jeden krok do przodu, a dwa kroki do tyłu. Mnie to się udało. Harcerze przeszli, ale ich krok do przodu był milowym, kroki do tyłu tylko milimetrowe. Ja miałem kroki prawie metrowe także do tyłu. Nie kłamię. Kazanie Ojca Proboszcza przypominało mi historię dwóch hrabin, które w uroczystych i bogatych powozach wjechały w ulicę Kozią w Warszawie (jest taka, w pobliżu Zamku Królewskiego, chodziłem nią często) i żadna nie chciała ustąpić. Wysłano gońca do króla Stanisława Augusta Poniatowskiego o rozstrzygnięcie, która na wycofać swój powóz. Król rozstrzygnął: „Młodsza ustępuje starszej”. Gdy goniec powrócił, obie Najjaśniejsze Hrabiny krzyknęły do swoich stangretów niemal jednocześnie: „Zawracaj!” Opowiadana przeze mnie historia wiązała się także z zadaniem zrobienia palcami jak największego otworu w kartce papieru (10 x 14 cm). Ja zrobiłem taką dziurę, że swobodnie przeszła moja głowa. Ale nie ja byłem zwycięzcą. Jedna z harcerek знаła „mój” sposób, pracowała spokojniej, wolniej i mogła cała przejść przez zrobiony otwór cała. Wychodzę z zasady, że harcerz oprócz mózgu ma mieć zdolność używania tego organu inteligencji. Jak ktoś porusza głową, to oprócz mózgu i rozum w głowie się znajduje.

Skończył się „Kar nawał” i nasi parafianie starają się przeżywać Wielki Post po katolicku. Zabawa Parafialna już jest przygotowywana, będzie w drugą sobotę **po** Wielkanocy. Teraz parafianie przyszedli na ceremonię posypania głów popiołem. Jest tradycją, że w Adwencie i w Wielkim Poście w Kanadzie ołtarz przykrywa się fioletowym obrusem. W Adwencie przed ołtarzem jest wieniec z czterema świecami, w Wielkim Poście przed ołtarzem stawia się krzyż stojący na „skale” zrobionej z włosienicy. Ma nam przypominać o umartwieniach. Pewna Krysia już mi powiedziała, że przez cały Wielki Post nie da nawet odrobiny kiełbasy swemu pieskowi, chociaż go bardzo lubi. Drogę Krzyżową w piątek prowadzą poszczególne organizacje kościelne. W niedzielę przed wieczorną Mszą Świętą śpiewamy Gorzkie żale. Dzięki pewnej grupie parafian mamy dwa razy w tygodniu Adorację Najświętszego Sakramentu: w każdą niedzielę jedną godzinę przed Mszą świętą wieczorną oraz przez pół godziny przed Mszą Świętą w piątek. Ostatnio powstała jeszcze jedna grupa modlitewna; w intencji chorych naszej parafii. Jest to oczywiście grupa nieformalna, prywatna, ale przyszedli do nas po błogosławieństwo i poświęcili także nowo nabyte różańce. Nie wątpię, że Pan Bóg wysłucha ich modlitw. Na razie istniejąca przy parafii grupa opieki nad chorymi działa mało skutecznie. Zobowiązali się do odwiedzania Polaków w domach opieki i to robią przeważnie dwa razy w miesiącu. Jednakże nie zawsze wiemy, w których domach są Polacy i czy ci Polacy życzą sobie odwiedzin. Nieraz starzec czy chory woli chorować sam.

Przed dwoma tygodniami ojciec proboszcz zaproponował mi moją stronę w internecie. Adres macie u góry, ja redaguję stronę „Misja”, zmieniam w każdy poniedziałek. Przepraszam, to nie ja zmieniam. Do tej pory nie interesowałem się internetem, po prostu nie mam czasu, więc przygotowuję tylko moje materiały na dyskietce i przekazuję Ojcu Proboszczowi, który wkłada na odpowiednią stronę. Okazało się jednak, że są pewne trudności. Po prostu komputer Ojca Proboszcza nie odczytuje dyskietek z mojego komputera. Co więcej, zawiesza się i nie reaguje na żadne polecenie. Może nowy komputer, który kupuje mi parafia, nie będzie stwarzał takich problemów. Do tej pory używam dawnego komputera z biura parafialnego o tak małym dysku, że po wgraniu koniecznych programów do pisania wolnego miejsca pozostaje mniej niż 0,8%. Informatycy to rozumieją. A nie mogę wgrać już skanera, encyklopedii czy innych dodatkowych atrakcji. Nie mogę już odczytać obrazków i dlatego nie ma ozdób na szerokim marginesie tego listu. Komputera też jeszcze nie ma, gdyż członek Rady Finansowej przy naszej parafii upodobał się nieco do naszego proboszcza. Widziałem go w kościele, przyszedł nawet do zakrystii... o kulach.

W Ottawie jest tor łyżwiarski o długości 17 km, jeśli ktoś korzysta z zamrożonego kanału „w obie strony”. Korzystał także i O. Proboszcz. Gdy po raz trzeci w tym roku założył łyżwy, lód okazał się nierównomiernie zamrożony (zdarzały się dni z temperaturą dodatnią i z mocno grzejącym słońcem) i w pewnym momencie łyżwy pojechały szybciej, niż Ojciec Proboszcz. Ręka bolała, ale dopiero po spuchnięciu pojechał do lekarza. Prześwietlenie wykazało jedynie niewielkie pęknięcie kostki w samym przegubie lewej ręki. Teraz nie może udzielać Komunii Świętej, gips przeszkadza. Na sześć tygodni był gotów wypożyczyć swoje łyżwy. Samochód też odpoczywa i na spotkanie Oblatów w Toronto pojechaliśmy autokarem, 5 godzin jazdy. Po trzech tygodniach założono gips lekki, ręka jest sprawniejsza, ale łyżwy z butami w tym roku używane nie będą. Przypuszczam, że staną się pierwszą wygraną na jakiejś loterii parafialnej, bo to będzie niezwykle cenny przedmiot dla Parafian.

Z okazji pewnego pikniku dla młodych Polaków spytałem dziesięcioletniej o plany na przyszłość. Ma wyrobione zdanie. Musi mieć duży dom, przynajmniej taki, jak mają rodzice (czworo dzieci, ona najmłodsza). Zauważyłem, że będzie miała kłopot ze sprzątaniami, bo teraz też woli siedzieć wśród śmieci, niż popracować. Rozwiązanie znalazła bardzo szybko: wybierze taki zawód, aby mieć dużo pieniędzy, aby starczyło na opłacenie sprzątaczk. Poza tym, znając ją, nie dziwiłem się, że marzyła też o dużym domu zbudowanym na drzewie. Dla niej przeskoczyć dwumetrowy płot czy też usiąść w kucki na gałęzi jak ptaszek nie jest żadnym problemem. Sam widziałem. Ale dobra z niej dziewczyna.

Kiedyś 12-letnią prosiłem, aby podczas Mszy Świętej zapowiedziała liturgię dziecięcą, jeśli ja bym zapomniał (zdarzyło mi się kiedyś). Nie chciała, nie miała odwagi. Poprosiłaby swoją mamę. Przy okazji powiedziała mi, że siostrą zakonną być nie może, bo chce mieć dzieci. Zapytałem, czy ma tyle cierpliwości, co jej mama? „Nauczę się być cierpliwa”.

A oto fragment listu otrzymanego na początku marca od mego korespondenta z Hamilton: „Latem ub. r. (2000) usłyszałem na hali krzyk 20-letniego chłopaka. Skręcał się z bólu i trzymał się za rękę, a potem wybiegł w stronę biura. Pobiegłem w jego stronę, na cementie były ślady krwi. Krzyczał, aby poszukać gdzieś palca, który został ucięty przez obrabiarkę. Nadszedł syn właściciela firmy, odnalazł ten palec wśród wiórów drzewnych, a chorego natychmiast zawieziono do szpitala. W przerwie pomyślałem: „No, teraz do dzieła! Może to jedyna szansa otworzyć tym ludziom oczy, że jest w życiu coś ważniejszego, niż piwo, internet i serialy. Za kilka minut zapytałem właściciela zakładu, czy nie ma nic przeciwko temu, że pomodlimy się w intencji tego chłopaka, aby Bóg pomógł mu znieść cierpienie, aby operacja się udała i aby mógł dla nas zagrać jeszcze kiedyś na gitarze. Właściciel powiedział, że oczywiście zgadza się na modlitwę. Na stołowie zebraliśmy się wszyscy. A ja przeżegnałem się i głośno odmówiłem modlitwę. Na koniec sam właściciel powiedział: „Amen”, a jego syn przeżegnał się tak, jak i ja. Dla wszystkich to było zaskoczenie, że można się modlić za kogoś w nieszczęściu. Do dzisiaj nie wiem, kto z nich jest wierzący, a kto nie, i nie mam zamiaru się ich o to pytać. Tak się złożyło, że byłem pierwszym, który odwiedził Boba po operacji. Operacja się udała, palec przyszyto, ale do pracy już tutaj chyba nie wróci. Na Boże Narodzenie przygotowałem dla Boba pocztówkę z życzeniami i wszyscy się tam podpisali. Od tego czasu atmosfera w pracy jakoś się zmieniła, ludzie mniej przeklinają i są jakby życzliwsi dla siebie. Myślę, że każdy w swoim otoczeniu może zrobić coś dobrego i zjednać ludzi dla ważnej sprawy. Ja się upewniłem tego dnia, że zawsze warto kierować wzrok do góry i zachęcać ludzi do tworzenia wspólnego dobra”.

Przy okazji historyjka sprzed kilku miesięcy, już z Ottawy. Główną nagrodą loterii była butelka szkockiej wiski. Pod koniec parafialnego pikniku, gdy pozostało jeszcze kilkanaście losów i tylko jedna wygrana, właśnie nagroda główna, pewien parafianin nabrał chęci na nią. Kupował po jednym losie - wszystkie puste (wygrywał co trzeci los) - główną wygraną wyciągnął na samym końcu. Obliczył koszt: równy cenie alkoholu w sklepie. Ale ile atrakcji!!!

Wśród zebranych przysłów dwa rozpoczynają się jednakowo: „nie ma tego złego...” Zakończenia są dwa i oba były aktualne w prawdziwej tej historii. Pierwsze: „co by się gorzej skończyć nie mogło”, czyli „lepsze jest wrogiem dobrego”. Pewnego wieczoru Ojciec Proboszcz stwierdził, że mam za ciemno w pokoju. Kupił dużą żarówkę, dającą białe światło, przystosowane do czytania. Niestety, żarówka nie mieściła się między sufitem, a płaskim szkłem. Po prostu producent chciał zabezpieczyć sufit przed nagraniem się i zrobił miejsce dla 60-watowej żarówki. Przez kilka dni miałem jeszcze ciemniej w pokoju, bo przy okazji dowiedzieliśmy się, że nagrzewa się oprawka przerdzewiała ze starości. Baliśmy się wkręcić nawet małą żarówkę. Wkrótce pod sufitem znalazły się dwa piękne żyrandole, mam równomiernie jasne oświetlenie, a co najważniejsze, bezpieczne. Druga żarówka w drugiej oprawce też się grzała, A więc „nie ma tego złego, żeby nie wyszło na dobre”, czyli „żeby gorzej się skończyć nie mogło”. I nie muszę bać się pożaru ani używać lampy stojącej, czyli przeszkadzającej, przy stole, dokładnie; przy lewym łokciu.

I jeszcze wesoła historyjka z innym narkotykiem. Lekarz przepisał pewnemu pacjentowi lek, który powinien w płucach usunąć skutki spowodowane nikotyną. Tak pisało na ulotce sprzedawanej z lekiem. Pacjent nigdy nie palił papierosów. Czy trudno domyśleć się, komu to mogło się przytrafić?

*Z serdecznym pozdrowieniem*

*W Chrystusie i Maryi Niepokalanej*

**O. Jan Sadowski, OMI**